

9763

Bibl. Jap.

II

8763

II

5/68

Wspomnienie

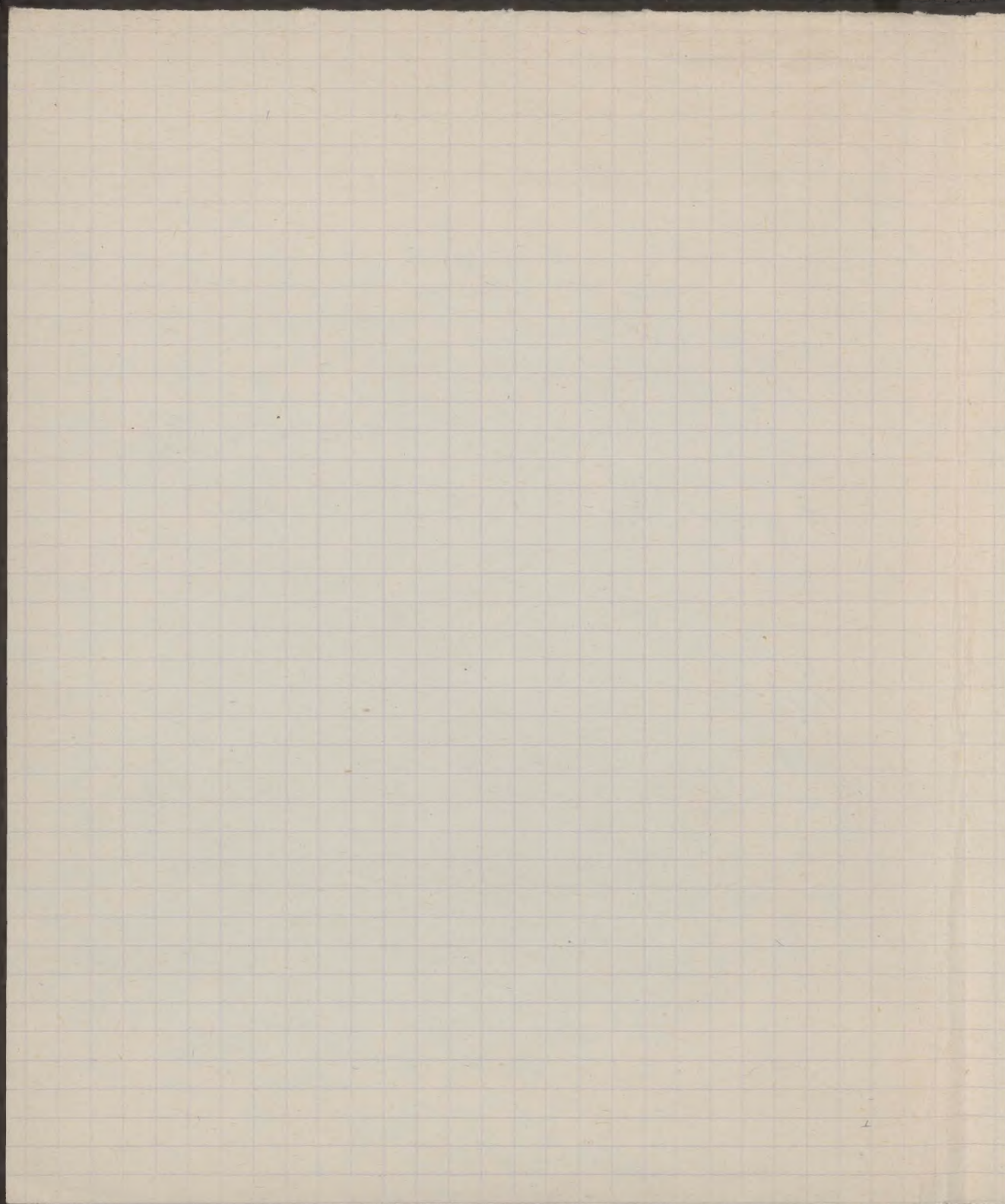
Apolimowego Jiedgowsta (*1837)
powstańca 1863 i Sybiraka.

L. 500

Jan 600

23 I 68

oferta 500 zł



Wspomnienia powstania z 1863 r.

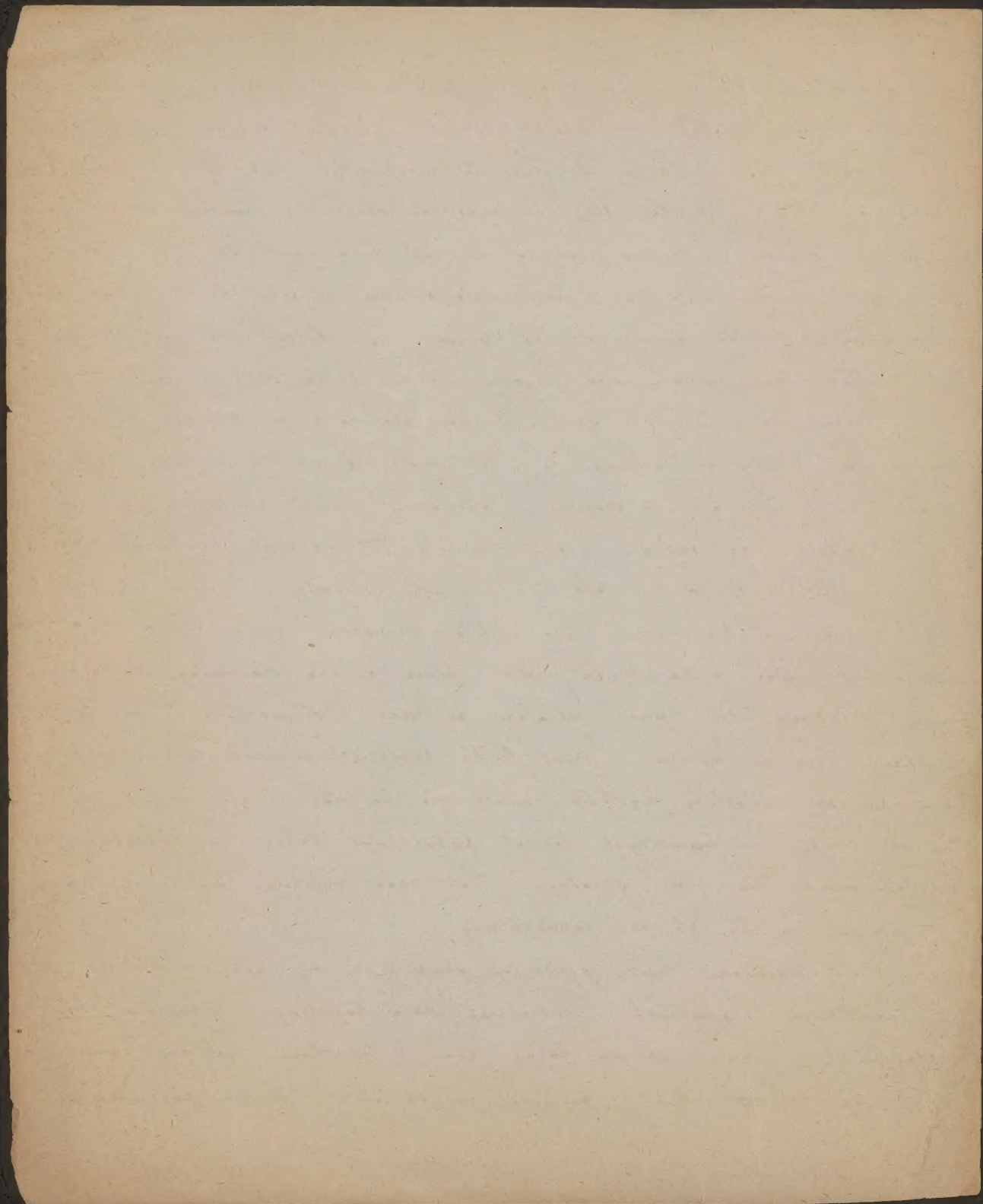
Pochodzę z rodziny, która nie mało wycierpiała za sprawę polską na Litwie. Udział swój w powstaniu z 1831 r. przypłacił mój ojciec, Wilhelm Giedgowd stratą Giedgowdziszek, majątności ziemskiej, będącej od wielu pokoleń w następach rekach. Wykupiliśmy się od odpowiedzialności chodząc czas jakiś dzierżawami, a że mu się nie wiedło, więc skończył na służbie po dworach. Miał miejsce u p. Wojtkiewicza, kiedy w r. 1838 z urodzeniem się mojem spadł mu nowy kłopot na głowę. Odezwano mi w Szadowie, dano imię Apolinarego i powierzono na razie opiece babki. Wyrósłszy na chłopca, odbyłem w Wilnie naukę i już w 1845 roku życia dostałem posadę organisty w Nowych Trokach. Łajmowałem ją blisko lat 10 i miałem właśnie żenić się z panną Józefą Łukaszkowską, z którą mi ciotka moja swatała, gdy wybuchło ostatnie powstanie. Namówił mi i doprowadził do przywiązki przed koncyfiksem, przy kapelanych i świecach; b. rotmistrz, p. Eustachy Chmielewski, właściciel majątku Olszki i koniarski włościański z wyboru. Dopomagał mi dzień w werbunku brat jego Rykard, który świeżo był uniwersytet skończył.

W początkach maja 1863 r. korzystając z jakiegoś festu, wyszło nas 18^u z Trok, niektórzy poprzebierani po chłopsku. Na punkcie zbornym, w lesie, niedaleko Starych Trok, czekało na nas 15 ludzi pod wodzą Sedyka, warszawianina, który tylko tymczasowo, zamiast Chmielewskiego przybył, miał nad nami sprawować komendę. Broni z amunicją, wcale trochę dubeltowi, albo pojedynki, była już przedtem przygotowana.

Rup 9763 II

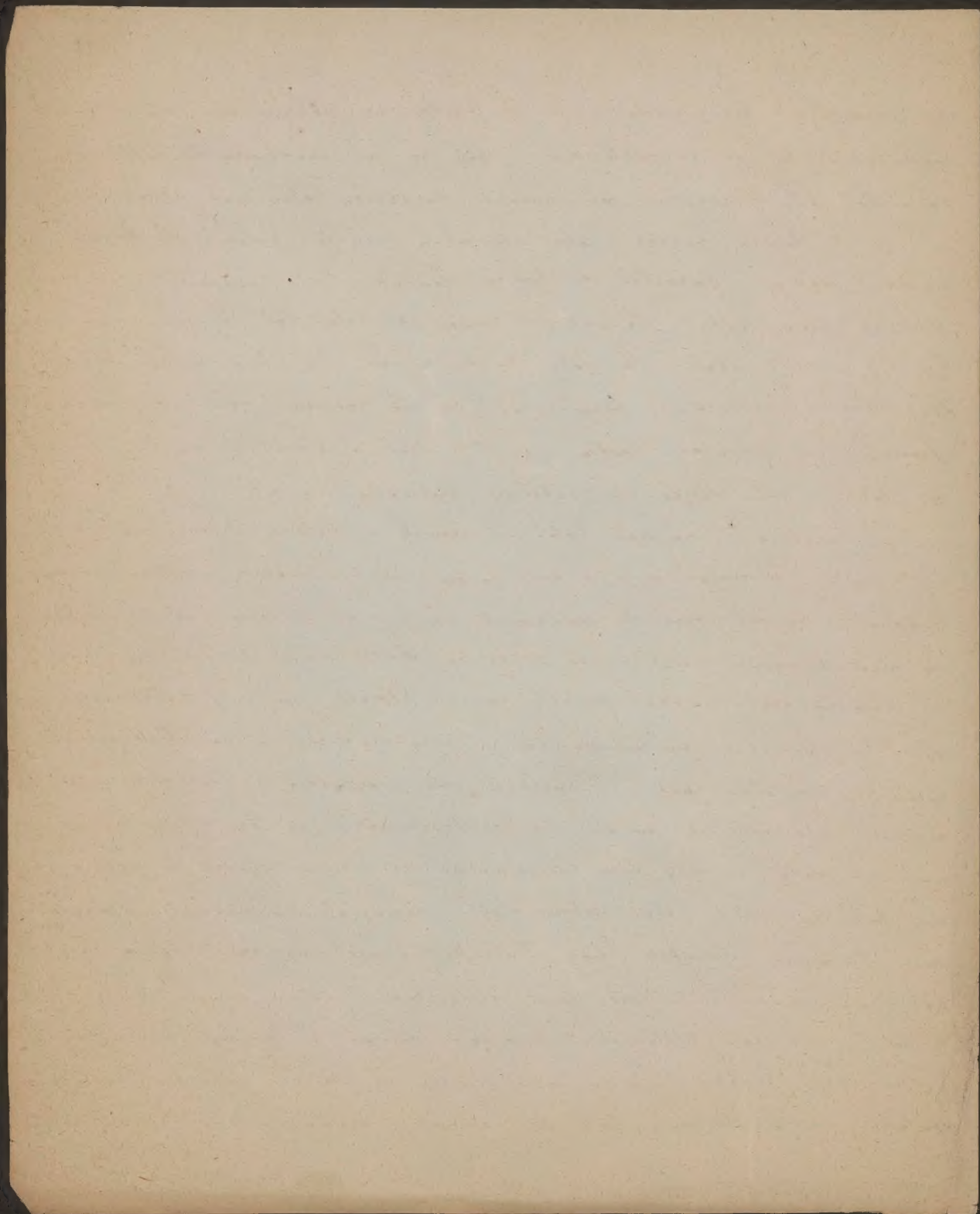
wymieniona i schowana w lesie. Rozłożyliśmy się obozem na wysepce wśród bagien, znalazł się gdzieś kowal z kuźnią polową, ochotników nie brakło, bo i z Wilna do nas się przekradali, tak że niebawem było nas 80^u. Zawital pod ów czas do obozu ks. Konty mowicz, młodziutki wikary i bardzo pięknie do nas przemówił, dodając otuchy i odwagi, przypominając, że Dawid, młody chłopiec, powalił drobnym kamyczkiem olbrzymiego Goliata, tłumacząc, że sprawa nasza dobra i że zwyciężymy, jeśli Bóg nam pomocy swojej użyjemy. Za dni kilka oddział nasz się podwoił i liczył bez mała 150^u ludzi. Dowiedziawszy się o nas Moskwa i jednej nocy, choć pikiety rozstawione były, tak misternie na nas ekspedycję całą, rolę piechoty, że zbudzeni w pierwszocy, ledwieśmy zdążyli uratować się, uciekając z otaczającej nas zewsząd matni. Zginęło 4^{ech} naszych, Rutkowski, Jabłonski, syn zamożnego w obywatela i 2 innych. Przepadła prawie cała broń nasza, przepadła kuźnia i mięso zabitych z wieczora krowy. Mnie wyjątkowo udało się ująć z karabinem moim, przez lasnika szarbowego dostarczyć innym. Układając się spać, wziąłem go wraz z Humoerkiem, według instrukcji, między kolana i temu tylko zawdzięczałem, że mi żadnej szkody nie poniósł. Jeśli by moskale rzucili się na nas śmiało, wytopiliby nas co do nogi, w pierwszych jednak potyczkach takósż ich oblatywał, zaalarmowali nas wami strzałami i dali czas wyknąć się przez bagno, w którym prawie po parę zapadaliśmy.

Po przejściu burzy gradowej skupiliśmy się znów i chodząc po lasniczościach rządowych i zabierając stare karabiny z bagnietami, wyzyskiwaliśmy się, jak się dało. Jeden z lasniczoów zwał się Egiмонт-sam nas wezwał, abyśmy przywali go rozbroić, kopnym poczwurkiem



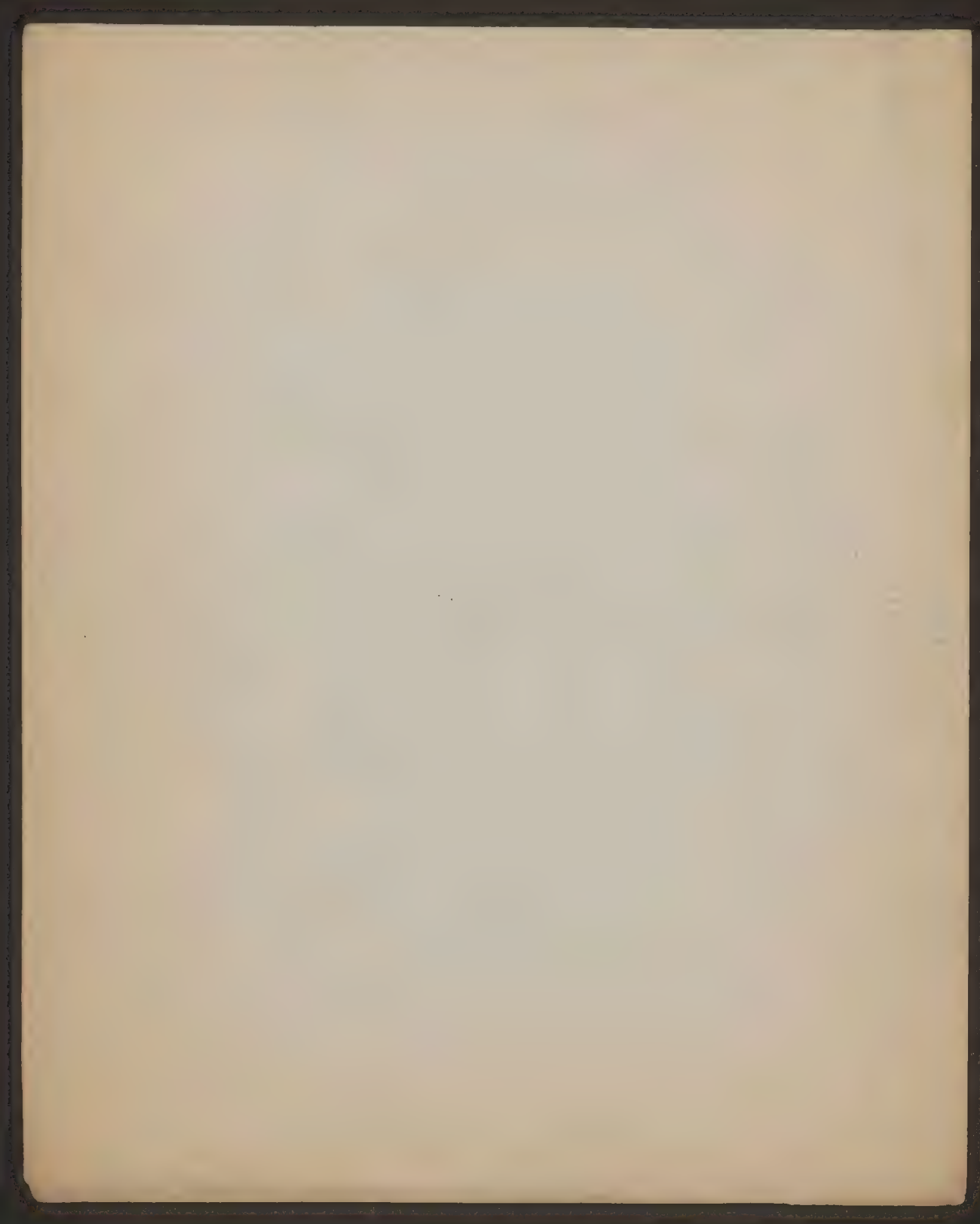
nas uroczył i broń oddał. Co najlepsze, że później sam się o to postarał, żeby go zaarestrowano i gdy go już wiedziono do najbliższej komandy, już rzucać się jak wariat, ksykować, hałasować, i pociwać, tak że go w drodze jeszcze, jako niepełna rozumu, puścili do domu. Wodzem naszym pozostał do końca Sedyk, bo Chmielewski nie wiem dlaczego nie poszedł. Sedyk, b. urzędnik kolei żel., słuszny mężczyzna lat około 30^u dbał o to, żeby każdy z nas miał broń palną. Grupa, z rozproszonych i przyjmując prawie codziennie nowozacieknych, utworzył on wkrótce partję ze 180 ludzi. Kręciliśmy się tu i ówdzie, aleśmy doświadczyli długo w rzetelnej potrzebie nie byli.

Przejechał i na nas koleją. Wiosonch i Lubicz, którzy na około 300^u ludzi, wliczając w to i kosynjerów, już byli miarą a dobrze moskwa trzepali, wzywali nas do połączenia się z nimi w lesie pod Olkianikami, w przewidywaniu nieuchronnej rozprawy. Ruzyliśmy. Gdyśmy się zbliżyli do umówionego miejsca, bagnoty nasze, których mieliśmy kilkanaście, wywołały zpoza siebie pewien popłoch w oczekujących na nas braciach, rychło się wzajemnie opatrzyli, spotkali nas uroczyście i wieczorkę w jakichś murach klasztornych podjęli, nie bez dogadywania, że tego chleba darmo nam nie dadzą, że doświadczyli tego próżniactwa, że i nam w końcu wypadnie prochu powołać itd. Pełni dobrej myśli pociągnęliśmy naraźtaz, pierwszego dnia Lielonych Świątek, pod Rudniki i zajęliśmy nad rzeczką upatrzone góry stanozowos. Przed nami leżała taka, gęstym, starym lasem otoczona i gościnnem Olkianichim porzecistą. Mając po prawej stronie bagno, a po lewej rzeczkę, byliśmy mniej więcej od obijęcia zabezpieczeni, grube stulatnie sosny starczyły nam za najlepszy szaniec. Minęło parę godzin,



zanim nadeszli kochani goście, a było ich sporo, bo sześć rot nas wtedy ścigało. Gdy na wstrzał wyszli, plunaliśmy w nich słowiem. Wnet rozsyпали się w tańcach tyraljerski i dalej ku nam. Kilkakrotnie lekli naprzód, lecz za każdym razem cofać się musieli. Wreszcie gdy im ta gra dokuczyła, rzucili się hurmem na bagnety. Na tę broń nie mogliśmy mieć rzyć się z nimi, w mgnieniu oka przeto drapnęliśmy na prawo przez błoto, że zaś wokół z nami nie było więc żadna zdobycz, nie pościgali się za te trupy, co je w trzech dotach potem pochowali. W naszym oddziale mieliśmy tylko trzech rannych, ani jednego zabitego: jakie straty Wiśłouch poniósł, nie wiem, ale bodaj, że też nie wielkie.

Sprawniwszy się, jak należało, pomarszerowaliśmy każdy w swoją stronę. My z Sedykiew przebraliśmy się przez Niemca do gubernii Augustowskiej, gdzieśmy się trzymali całe lato. Rano, pomnie, było z nami konocho. Wyparli nas z lasu na szersze pole, a drugi las był dopiero o milę. Padliśmy co wił w nogach kogoś jakiejś wioseczki, a pogoń kozačka już, już nas dopadała. Wtamtę ktoś strzelił z owej wioski. Kozacy rzucili się do chaty, żeby tam „pohulać” po swojemu, a my korzystając z tego nieoczekiwanego obrotu rzeczy dobiegliśmy do drugiego lasu. Utworzyło się wreszcie ucho od drabana. Zgubiły nas nakazywane nam trzykrotnie marsze ku pruskiej granicy po odebraniu transportu broni. Dwa razy przecięły nam wszystkie przesmyki tak wielkie wity, że radzi byliśmy, żeśmy się jako tako wycofać mogli. Za trzecim razem, w październiku, o milę od granicy, około Bud, spotkała nas klawka zupełna. Wyślizgiwaliśmy się, jak piskorz moskalom, ścigającym nas bez przerwy przez trzy tygodnie, wkońcu uchroniliśmy się do nie-



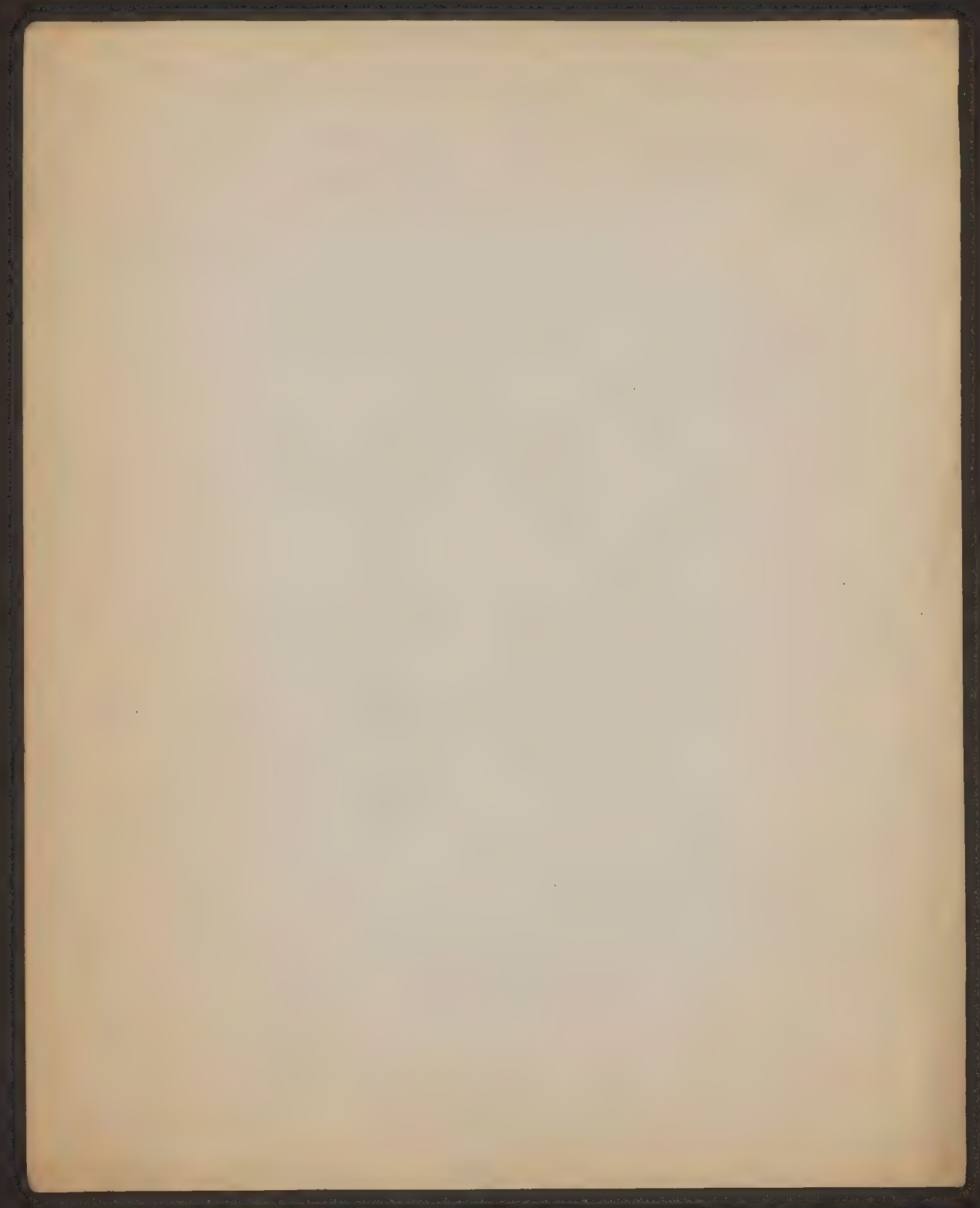
dużego lasu, spodzie wagać się, że uda się nam może dojechać w ukryciu nocą. Omylił się się zupełnie. Tęcza rosła; 200 kroków otoczyło nas dookoła. Jedna rota strzelała do lasu, żeby nas wyparować w pole, a reszta zaczęła się na skraj. Kto z naszych chciał polem uciekać, znajdował albo śmierć, albo niewolę. Wtargnęli wreszcie do środka lasu z oficerem na przedzie, który zaraz na wstępie naszego śledzika z rewolwerem położył trupem. Stał on może o 10 kroków od niego, gdy padł z kulą w czaszce. Prawie jednocześnie padł jeden z kolegów postrzelony w bok w chwili, gdy się schylił, aby podjąć z ziemi piękną dubeltówkę naszego dowódcy. Spadzeni z właściwego lasu, schroniliśmy się my nieliczni, cośmy jeszcze ocalili, do laszyczniaku. Totem i wieczór zapadł. Tu słychać jak dobijających, ów dzień dzikie krzyki zabijających, gdzieś niedaleko strzał huknie, życie wisi na włosku, bo od tego tylko zależy, czy oblawa dojdzie przedko do naszej koryjówki — a mnie kaszel męczyć nie przestaje! Każda minuta wydawała się godziną, a godzina bodaj że rok stacowała. Późnym zmierzchem odwołata trzeba żołdaków od pastwienia się nad ranymi i obdzierania zabitych. Rozpalili ogień obozowy. Tak z pod ziemi wyrósł jakiś poeciwy chłopak i ten nas pod samym nosem Moskwy, do której i ówiesi wiorsty nie było, chyłkiem, po koranej roli, z toni wywiódł.

Rozproszeni, po dwóch, po trzech, staraliśmy się przekraść do jakiegokolwiek partii, ale już żadnej nie było w pobliżu. Uradziliśmy z Kłuckowskim, który także z Trok do powstania poszedł, wrócić do domu i dobrowolnie się stawić. Przeprowadziliśmy się szeregami przez Niemcy, byliśmy już nie tak daleko od domu, gdy naraź usłyszeliśmy



trabkę. Wdrapaliśmy się cieniem przedniej na dach, rozglądamy się z niepokojem - oto oficerowie urządzili sobie gotowanie. Jeden z nich stanął potem wcale blisko od nas, ćmiąc papierosa i ani mu się śniło, jako zwierzynek ma nie przed, ale nad sobą. Cały dzień nas tak przytrzymali między niebem i ziemią i ledwie pod wieczór mogliśmy puścić się w dalszą drogę. Kleckowskiego nie przypał ojciec z powodu ustawicznych rewizji, ukrył się więc do czasu u burłaka. Zostawiliśmy jeden, ledwie wyprosiłem w zagrodzie szlachyca zajeickowego, że mi kawałek chleba prosię drzewi podał, noc zaś u jego płotu sprzedać musiałem, bo do izby, jako się rzekło, nie wpuścił. Tam na tym nie wesołym nocegu zagrzebałem pod liwami furę, patrontarz, i pistolet, torbę i resztę rzeczy porzuciłem nocą o następną, ostatnią którą w lesie jeszcze sprzedałem i tylko z rękami a miotłą z gałązek brzoźowych zrobioną poszedłem do miasteczka, udając, że niby do Ławni idę. Most był rozrzucony, po kładce prosto pod okrymą trzech wart moskiewskich paradować musiałem, dotarłem jednak szeregówie, nie poznany i nie nagabywany przez nikogo, do plebanii. Po paru dniach na stychu sprzedanych nam się przekonaliśmy, że mi nie zostaje nic innego, jak wydać samego siebie władzom.

Kiedyś się zameldował, wzięto mi najpierw na odwaz, na noc zamknięto do turmy i zaraz nazajutrz z 30^u towarzyszami, w których liczbie był i Kleckowski, wyprawiono do Wilna. Tu siedzieć mi przyszło w klasztorze po franciszkańskim. Działo się to już na początku listopada. Między innymi więźniami był i p. Chmielewski, który nie mogąc pomiędzy innymi, rzucił nam tytuni przez okno, gdy nas na prze-



chadzka co drugi, lub trzeci dzień prowadzono do ogrodu. Za parę groszy można było od warty dostać wody gorącej do herbaty, kto zaś chciał, to i wódki, a nawet i listy miewaliśmy i pisywali. Ciele były ciepłe, miejsca dosyć, bo w każdej komorze nie było nas więcej niż 4-6, używaliśmy tedy ruchu do woli. Spało się, ile się chciało, i za dnia i za wieczorem. Jedzenie było nie wymyślne, ale dobre i smaczne.

Badali, pytali, w końcu skazali na wygnanie do Tomskiej gubernii na tak zw. „posielenje”. 2 stycznia 1864 r. odebrano nam naszą odzież oraz pieniądze ponad 1 rubla (ja potrafiłem schować w książce do nabożeństwa 5 rb, które dostałem od naszekowej), o 12^{ej} w nocy wywiedli na dziedziniec więzienny, z kadłubem piechoty, mając koczować na przodzie i tyłku, pomarkrowaliśmy na dworze kolei żel. Partja nasza składała się z 700 tak politycznych skazanych, jak z rozmyślnie dołączonych do nich kryminalistów. Wszystkie razem wpakowali do wagonów bydłych, wypłaciliwszy każdemu po 15 kop., z nakazem, aby za to kupić sobie chleba na trzy dni, bo też tyle dni nas do Petersburga wiekli.

W wagonie upłynęło dobre pół-godziny w zupełnej ciszy. Przerwał ją starszyzna Lablocki, skazany wraz z synem do Tobolskiej gubernii, intonując: „Kto się w opiece”. Przespiewaliśmy całą pieśń chórem. Ozwoliliśmy się potem z naszymi prośbami, wzrękali się śmiechy, żarty, śpiewy i śpiewki...

Z Petersburga do Moskwy jechaliśmy trzecią klasą i pozwalano nam wyciągać po stacyach. W Moskwie przebyliśmy cały tydzień w więziennych koczarakach „Katamańnyj Dwor” zwanych, śpiąc na „nasach” i pod



nasami. bez Tomu nawet, bo jej nie dano. Tynych nadużyć nie było, odbywały się bowiem często rewizje jeneralskie. Za swoich 5^{tych} rub. kupiłem od wójtów więźniów czapkę i buty - za półtora rubla.

Do Mińskiego Nowogrodu dowiozła nas kolej, stamtąd zaś aż do Tomsku transportowano nas koniami, sadzając po dwóch na jednokonne sianie i zaopatrując w dobre tutuby. W Permie odpoczęliśmy trzy dni, w Tobolsku, gdzie gubernator Despot-Lenowicz po polsku z nami rozmawiał, przez cały tydzień, w Tomsku znowu 3 dni. W Tomsku brymani byliśmy w więzieniu dla skazanych na rotę aresztantów, ale nam pozwalano chodzić do miasta, dając na 4 więźniów jednego żołnierza za stróżkę. Dwóch warszawianów skorzystało z naszej iściego dozoru i uciekło, chłopci jednak tegoż dnia ich złapali i oddali. Przy tej sposobności jaś nas jeden chłop bity i tając, sunaliśmy się więc doli groźnie, lecz naczelnik załatwił wnosił zataj po ojcowsku, wygromił chłopca porządnie, do „panów” natomiast - tak nas tytułował - przemówił łagodnie i przestrzegając. Za względów oszczędności, żeby uniknąć dawania „kormowych”, wysłano 700 nas do Biejska i 800 do Kuźniecka, do „wolnych kabinetskich włości” i pozostawiono własnemu losowi. Mnie przeznaczono Biejsk na miejsce zamieszkania. Przybywszy tam prze-nocewałem u chłopca, poprosiłem go nazajutrz o topór i poszedłem drze-rąbać...

Ale czuwała nad nami Opatrzność. W Biejsku był internowany polak Kalinowski, ongi nauczyciel dzieci cesarskich, podówczas zastanice polityczny, cieszący się wielkiem poważaniem u rosyj. Zgromadził on nas wszystkich, zachęcił do pracy, jedności i ucieśności, do porządnego,



cichego i cnotliwego życia. Za jego radą ustanowiliśmy własny sąd mający czuwać nad tem, aby postępowanie jednego wietoznika nie szkodziło wszystkim. Gdy się upewnił, że mamy szczerą chęć usłuchać jego upomnień, zaczął polecać nas gorąco bogatym kupcom. Mnie wystarał się o miejsce furmana, także u kupca, za 4 rb. mnie się eknie i wielce się ludzie temu dziwowali, że Kalinowski, który kazał na czejowi (Tapownikowi) raki nie podawał, z prostym „kuczerem” witał się jak z równym sobie. Po niejakiem czasie nadesłał ojciec 10 rb, tyleż otrzymałem od siostry, oporządkiem się więc i rzuciwszy furmanstwo wyhierowałem się na zawiadowcę „kabaku” tj. szynku. Świebawem na 15 kabaków 13 było pod zarządem naszych wygnańców, dwa zaś tylko zostały moskalom, u których przeszedł nikt braci nie chciał. Nie mogąc w inny sposób nas wygryźć, jeśli pozbawieni rytkownego rajęcia dawni szynkarze i szepać temu i owemu do ucha i rozkruszać kartki pisane, że polacy tej a tej nocy mają podpalić miasteczko. Mieszkańcy, którzy już nas byli polubili, nabrali do nas nieufności i prawie nas koni na widzieli, stróżowali pod naszymi oknami w tę noc, na które pożar był zapowiadany i dopiero wtedy gdy im czas pokazał, że w szczerzych pogłoskach nie było ani kęsy prawdy, wrócili do dobrej z nami komuny.

Pierwsze trzy lata przeszły nam tedy w Brijulu nie najgorzej i było nam bardzo marchotno, gdy gubernator kazał wszystkich polaków przewieźć do Tomsku, żeby się który nie kargnął na W. Ks. Włodzimira, który zwiedzając Syberję, postanowił i powiaty objechać. Dla wielu z nas rozkaz gubernatorski przyniósł zupełną ruinę, bośmy się już



urządzili na state i niewielikim porzucili proła kasiane, spie nie żać
za bzeem konie, ruchomości itp. W Tomsku dawano nam na utrzy-
manie od 3 do 6 rb miesięcznie, ale lepiej nam było w powiatach
Biejskim i Kikimichim, najbogatszych w całej gubernii. W mieście
puścili się niektórzy, mianowicie warszawiazy, na kulanki, romanse
z mężatkami, webrnęli w długi. Poręczyli, dr. Michałowski i naczelnik
poczty Butkiewicz, wydobywali z biedy lekkomyślnych radaków,
z ciężką własną kzywda. Co do mnie, to na raxis worki we mlynie
nosił. Po kilku miesiącach zbilem się z silną rozpustą i uważałem za
wielką Zaskę losu, gdy mnie jeden z towarzyszy wygnania wziął na pro-
mocnika do swego kramiku z placu trzech, a później czterech rb. mie-
sięcznie.

I znów minęły 4 lata w Tomsku, aż do ogłoszenia manifestu,
który mi wrócił prawa szlacheckie. Skatychniast pojechałem do Biejska,
nie znalazłem tam wszakże stałego zajęcia. Skusiła mnie chętka szybkiego
porośnięcia w pierze, udałem się przeto na Biejs do kopalni i wstąpi-
łem do arteli. Pracowałem ciężko, kopalem, wozilem piasek, nie wiedzo-
jąc, wszakże i całej arteli i mnie z nią razem. Nie wiedziałem już co
dalej począć, gdy w samą środzię Palmową czerpiąc wodę z krynicy
poślizgnąłem się i aż po pas wpadłem. Zdejmując but, wodę wylewam,
wtem wypadła z buta kawałek kamienia, "kaliniaka", a w nim błysnęła
samorodki złota. Tak cudownie znalaziony kamień sprzedano za 24 rb,
popłaćłem dług, kupilem konia i harowałem dalej, z małym wszakże
zarobkiem. Przeruciłem wolicu niewdzięczne zajęcie i wystarałem się o
posadę pisarza pocztowego na wsi z wynagrodzeniem 3 rb. miesięcznie.



Przejeżdżał raz przez moją stację dojechał służący w kontroli ko-
palni złota, podobał mi się i dał mi miejsce podległego ajenta
z pensją 25 rb., bez żadnych dodatków i z obowiązkiem posiadania
własnego konia. Miał co mogłem na stronę otokę chociaż koledzy moi
mili po 5 koni i robili „oszczędności” do 800 rb. rocznie, oczywiście
pozwalając kraść, na com ja nie pozwalał. Po 16^u latach wiernej służ-
by i po rozmaitych awansach, płaciła mi kompanja 30 rb. miesięcz-
nie i dawała całkowite utrzymanie. Jednej nocy, obiadzono mi do-
szkarnia z całej chudoby i to mię tak obrzydło Syberja, że po-
zegnawszy ją i „przyiski”, aż w Pemie się oparłem, gdzie przez
lat 10 zajmował miejsce organisty przy kościele katolickim. Ta staro-
wzmogła się technika do kraju, wróciłem więc w r. 1898 do Łódzi,
alem tuż sióstr swoich nie znałem przy życiu.

Kleczkowski został urzędnikiem policyjnym

THE UNIVERSITY OF CHICAGO

LIBRARY

PHYSICS

PHYSICS

PHYSICS

PHYSICS

PHYSICS

PHYSICS

PHYSICS

PHYSICS

PHYSICS

PHYSICS

PHYSICS

PHYSICS

PHYSICS

